

## Spis treści

- I. Dlaczego przejmujemy się Izraelem?
- II. Dlaczego Palestyńczycy nie mają własnego państwa?
- III. Czym jest państwo żydowskie?
- IV. Dlaczego nie ma tam pokoju?

Glosariusz

Posłowie

Podziękowania Autora

I.

Dlaczego  
przejmujemy się  
Izraelem?

Dlaczego przejmujemy się Izraelem, tym pasemkiem ziemi ciągnącym się wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego, którego szerokość w niektórych miejscach nie przekracza dziesięciu mil? Jadąc z północy na południe, można go przemierzyć zaledwie w pół dnia, oczywiście, jeżeli się nie utknie za jakimś pochodzącym z Polski staruszkiem, który zerkając znad kierownicy pierwszego w życiu samochodu właśnie testuje swoje umiejętności (z prędkością trzydziestu dwóch mil na godzinę) przeżycia na drodze. W gruncie rzeczy bardziej powinniśmy się przejmować owym poruszającym się z prędkością żółwia ocalałym z koszmaru wojny Żydem niż ziemiami, przez które przejeżdża. Przecież nawet, jeżeli świat rozwiązałby problem i przyznał Żydom lub Arabom każdy dunam palestyńskiego terytorium – każde wzgórze, każdą winnicę, gaj oliwny, kamienny dom i każdą garść tej ziemi, o którą toczą się walki od ponad stu lat – cały ten majątek nawet w drobnym ułamku nie może się równać pod względem bogactw naturalnych lub żyzności ziem z najmniejszą prowincją Kongo.

Nie, ani to bogata kraina, ani państwo na jej terytorium nie może się poszczycić długą historią – istnieje zaledwie pięćdziesiąt lat. Apologeci i ideologowie umiejscawiają jego początki gdzieś w otchłani czasów biblijnych, co ma nadać mu walor wieczności i nieuchronności. W prowadzonej przez syjonistów polityce „faktów dokonanych” kryje się jednak drugie dno. W Palestynie są tysiące domostw, które zostały wpisane do rejestrów nieru-

chomości dokładnie pięćdziesiąt lat temu, a potem ich historia się zatrzymała, przypominając pusty i świecący ekran, kiedy w projektorze kończy się taśma filmowa. Należą do tzw. nieobecnych – Arabów, którzy uciekli, bądź zostali wygnani podczas wojny towarzyszącej narodzinom Izraela w 1948 roku. W obozach dla uchodźców wciąż przebywają tysiące starców, którzy mają klucze do tych domów – klucze, które przekażą swoim synom jako nagrodę i brzemie jednocześnie. I wciąż żyją starzy żydowscy bojownicy, których nadludzka energia sprawiła, że Arabowie musieli uciekać. W 2003 roku dostąpiłem zaszczytu zwiedzenia pól bitewnych na pustyni Negew w towarzystwie Icchaka Pundaka, który w wojnie 1948 roku był dowódcą brygady. Ten osiemdziesięciodziewięcioletni starzec przegonił mnie przez zniszczony most kolejowy, stanowiska żydowskich snajperów i bunkry egipskiej artylerii, i zerkając na mnie od czasu do czasu spod srebrzystych brwi, pytał: „Czy to dla pana nie za dużo? Nie potrzebuje pan odpoczynku?”

Nie przejmowaliśmy się Izraelem z powodu jego politycznych wpływów – nigdy nie odgrywał istotnej roli w układzie, który Bush senior nazwał Nowym Światowym Porządkiem. W Organizacji Narodów Zjednoczonych, przykładowo, nikt nie zadawał sobie trudu, aby zdobywać poparcie Izraela, chyba że z jakichś taktycznych powodów trzeba było stworzyć nieprzejednaną większość dwóch trzecich krajów przeciwko swojej propozycji. Niezależnie od tego, za czym głosuje Izrael, większość świata jest przeciw. To jedna z niewielu prawd, które przyjmują zarówno Arabowie, jak i Żydzi. Palestyńczycy odbierają niepopularność Izraela jako oznakę poparcia dla swojej sprawy (Zostali obrabowani! Są ofiarami! Trzeba zwrócić im ich prawa!), Żydzi zaś uznają, że potwierdza ona znacznie głębszy dogmat: cały świat jest przeciwko nim, niezależnie od tego, co robią.

W świecie arabskim, w którym spiskowa teoria dziejów jest bardziej rozpowszechniona niż sam islam (oferuje ona identyczny rodzaj komfortu: nic się nie dzieje bez przyczyny), modnie jest postrzegać troskę, jaką Zachód otacza państwo żydowskie – w szczególności przywiązanie Ameryki do Izraela – jako dowód wielkiego planu zdobycia panowania nad światem. Izrael jest traktowany jak swego rodzaju przyczółek Ameryki, z za którego wзира bogactwo światowych zasobów ropy naftowej. Teoria ta niesie ze sobą kilka problemów. Po pierwsze, dorośli mieszkańcy regionu byli świadkami interwencji, proklamacji oraz generalnego mieszania się w ich sprawy dwóch pokoleń „amerykańskich ekspertów do spraw Bliskiego Wschodu” – specjalnych prezydenckich negocjatorów, zastępców asystentów sekretarza stanu, regionalnych ambasadorów, wysłanników pełnomocnych... Prędeż piekło zamarnie, niż ci faceci cokolwiek załatwią. Niektórym z nich nie można nawet zlecić wymiany koła w samochodzie.

Drugi problem ma znaczenie decydujące: nikt nie potrafi wyjaśnić, w jaki sposób poparcie Ameryki dla Izraela przekłada się na wpływ USA na bliskowschodnią ropę. Czasami nawet wręcz utrudnia ono Stanom Zjednoczonym zakup ropy w tym rejonie świata.

Arabowie (a także niektórzy Żydzi) z upodobaniem przetwarzają stały żelazny wątek amerykańskiej polityki, który nazywają (w zależności od tego, kto o nim mówi) syjonistycznym lobby, AIPAC, żydowskimi bankierami, hollywoodzką mafią lub najprościej i zarazem najbardziej tajemniczo: żydowskimi interesami. Niezależnie od nazwy ów wątek wyjaśnia, dlaczego rząd i opinia publiczna w USA wydają się nie słyszeć, nie pamiętać ani nie brać pod uwagę sytuacji palestyńskich Arabów, którzy stracili swój kraj po zajęciu go przez Żydów. W tego rodzaju „analizie” kongresmani i prezydenci (przy czym bez znaczenia jest, jak się nazywają, do jakich partii należą, bądź skąd pochodzą) stają na

bacność salutując przed izraelską flagą za każdym razem, kiedy pojawiają się Żydzi wraz ze swoimi zagrożeniami lub grubymi książeczkami czekowymi. To oczywiście kolejny nonsens.

Jakich dźwięki używają Żydzi, aby sterować światem? Zmasowanej siły swoich głosów wyborczych? Stanowią być może dwa procent wszystkich wyborców. (Kiedyś było ich trzy procent, ale nawet nie są w stanie tak się zorganizować, żeby rodiło się więcej żydowskich dzieci.) W chwili obecnej tworzą blok o najmniejszej sile blokowania. Dzieci zdecydowanych demokratów stały się bogatsze i bardziej republikańskie (tak, jak biali faceci), a ich dzieci – dzisiejsi młodzi Żydzi – są całkowicie, jakby to powiedzieć... nie zainteresowani. Intelktualiści, którzy przebąkiwali, że Bush junior rozpoczął wojnę w Iraku, wykonując polecenia Izraela (przy czym połowa z nich dodawała, że wodził go za nos ten znany Żyd – szara eminencja Pentagonu i zastępca szefa tej instytucji Paul Wolfowitz), nie zauważyli, bądź nie chcieli zauważyć, że wśród organizatorów wielkich antywojennych demonstracji również byli Żydzi – którzy dzięki przemowie ostatniej gwiazdy radykalnego ruchu kibucowego, Noama Chomsky'ego, rozbudzili antyimperialistyczną gorączkę. (Są wszędzie!) A teza, że Bush musi tańczyć, jak mu Żydzi zagrają, ignoruje tak wiele faktów, że nie da się ich wszystkich nawet wymienić. Po pierwsze, nastawiony probiznesowo obecny Bush – obecny dosłownie w Białym Domu – mógł zmobilizować na potrzeby swojej reelekcji tyle milionów dolarów, ile tylko zapragnął. Najbardziej widoczne i publicznie komentowane „żydowskie pieniądze” pochodzą z Hollywood, a tam jedyną prawdziwą religią jest nienawiść do Busha. Nawet najzamożniejsi Żydzi na Wall Street przypominają bezdomnych w porównaniu z kumplami Busha z naftowego biznesu, którzy z chęcią pozbyliby się Izraela, żeby w spokoju móc lizać tyłki Arabom.

Jeżeli George W. Bush odnosi jakiegokolwiek korzyści z tro-  
ski o Izrael, bądź chęci niesienia mu pomocy, to nie zawdzięcza  
ich Żydom. (Niezależnie od tego, co prezydent powie lub zrobi  
w związku z Izraelem, zawsze znajdzie się grupa Żydów, która  
uzna go za nazistę.) Jediną namacalną korzyść polityczną za-  
wdzięcza swoim chrześcijańskim współwynawcom. Amery-  
kańska chrześcijańska prawica jest przekonana, że Żydzi powinni  
zajmować Ziemię Świętą, ponieważ tak mówi Biblia. Biblia mówi  
również, że aby dokonało się powtórne przyjście Chrystusa, Żydzi  
muszą się ponownie zgromadzić w Syjonie, co wywoła Armaged-  
don, a to z kolei spowoduje nadejście Jezusa. Nie wolno także  
zapominać o politycznym pokrewieństwie dusz sięgającym cza-  
sów, kiedy chrześcijańska prawica postrzegala Izrael jako dzielną  
antysowiecką (dzisiaj antyislamską) forpocztę „wartości judeo-  
chrześcijańskich”.

Ciekawe, że to właśnie ta ostatnia przyczyna najbardziej zbli-  
ża nas do odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego się przejmujemy?”,  
a to dlatego, że ostatecznie *realpolitics* nie przynosi racjonalnych  
korzyści, ani na arenie międzynarodowej, ani podczas wewnątrz-  
amerykańskich kampanii. W Stanach Zjednoczonych nie ma żad-  
nego lobby, ani żadnej grupy, która mogłaby wywierać nacisk na  
rząd, żeby Izrael stał się największym odbiorcą amerykańskiej  
pomocy zagranicznej – trzech miliardów dolarów każdego roku  
(plus kilka miliardów w postaci gwarancji kredytowych) – a to  
wszystko bez uwzględniania specjalnych kredytów wojskowych,  
preferencji handlowych oraz innych zakulisowych transakcji.  
Jedynym krajem, który może się pod tym względem choć trochę  
mierzyć z Izraelem, jest Egipt, któremu płacimy dwa miliardy  
za to, aby postępował w taki sposób, jak gdyby nie nienawdził  
Izraela. W sumie prawie połowa finansowej pomocy Stanów  
Zjednoczonych *dla świata* trafia do kraju rozciągającego się kil-

kaset mil wokół Tel Awiwu... (To jak nawadnianie pustyni!) A przecież naszego zainteresowania Izraelem nie należy mierzyć wyłącznie dolarami. Chodzi również o uwagę, jaką poświęcamy temu krajowi. Przeznaczamy na nią ponad pięć miliardów rocznie w walucie składającej się ze słów wydrukowanych w prasie oraz rozmów na antenie CNN. Mamy niezliczone i mniej lub bardziej dogłębne analizy w miesięcznikach „New Yorker”, „New York Review of Books” oraz w kwartalniku „Foreign Policy”. Nieprzypadkowo (i nie bez efektu) „New York Times” poświęca więcej miejsca Jerozolimie, aniżeli Staten Island, a „Redbook” – czasopismo dla kobiet, odpowiada na nową falę strachu swoich czytelniczek przed terroryzmem zamawiając osobisty esej żydowskiej matki z Izraela (która dziwnym trafem jest również szefem jerozolimskiego biura AIPAC). Trzeba przyznać – Izrael dobrze się sprzedaje. A my sprzedaliśmy się Izraelowi. Dlaczego? Ponieważ do pewnego stopnia jesteśmy jak ci chrześcijanie, którzy dostrzegają i wspierają tam pewne wspólne wartości. Przez dziesięciolecia czytaliśmy i rozmawialiśmy o Izraelu, wspieraliśmy i chroniliśmy Izrael, płaciliśmy za wysoką stopę życiową Izraelczyków... ponieważ doszliśmy do wniosku, że oni są podobni do nas.

To Izraelczycy, nie kto inny, dokładali wszelkich starań, aby wywołać właśnie takie wrażenie – począwszy od mianowania na stanowisko rzecznika prasowego rządu człowieka, który wyślawiał się tak, jak gdyby wychował się w Detroit (bo tam się faktycznie wychował), aż po wydawanie brakujących im szekli na światowe (należy przez to rozumieć świat zachodni) tournée izraelskiej orkiestry filharmoniczej. Od 1948 roku najważniejszym bogactwem młodego państwa była martyrologia, a następnie triumfalny sukces narodu żydowskiego. To bogactwo przysporzyło mu sympatii świata oraz doprowadziło do głosowania



na forum ONZ, które dało początek Izraelowi. Tak więc pierwszą gałęzią izraelskiej gospodarki (zanim nawet cierpkie pomarańcze z Jaffy zdobyły europejskie rynki) stało się coś, co miejscowi nazywają *hasbarah* – termin ten dosłownie tłumaczy się jako „wyjaśnianie”, jednak my moglibyśmy nazwać go propagandą lub public relations.

Od chwili, w której ONZ-owski rozejm zakończył pierwszą wojnę wiosną 1949 roku, Izraelczycy pokazywali zagranicznym turystom swój kraj pod okiem przewodników. Nowi żydowscy imigranci mieszkali w nędznych namiotach, siły powietrzne składały się raptem z dwóch zdemolowanych bombowców, ale rząd kupował na pęczki bilety na statki i bilety lotnicze, zamawiał pokoje hotelowe i nowoczesne autobusy na darmowe wycieczki przeznaczone dla entuzjastycznych studentów ze Szwecji lub Szwajcarii, opiniotwórczych przedstawicieli Republiki Południowej Afryki, żydowskich „pionierów” z Ameryki Północnej, młodych polityków i dziennikarzy z całego świata oraz, oczywiście, bogatych Amerykanów (którzy dzięki szczodrym prezentom mogliby zafundować tego rodzaju wycieczki w przyszłości). Musieli opowiedzieć światu swoją historię, dlatego w branży *hasbarah* znaleźli się najlepsi i najinteligentniejsi. To nie byli jedynie przyjaźnie nastawieni przewodnicy wycieczek, którzy perfekcyjnym flamandzkim lub duńskim, walońskim bądź serbsko-chorwackim (umiejętności językowe okazały się kolejnym narodowym bogactwem) potrafili wyjaśnić, w jaki sposób arabskie armie prowadziły śmiertelny ostrzał artyleryjski z tego wzgórza, o właśnie tam! (A ci biedni mieszkańcy kibuców, którzy poczęstowali nas tym wspaniałym lunchem, żyją w takim zagrożeniu przez cały czas, nawet teraz...) Byli również rzecznicy, przewodnicy oraz przedstawiciele każdego ministerstwa, każdej gminy, wielkiego ogólnonarodowego związku zawodowego Histadrut, izraelskiego

Urzędu ds. Terytorium czy też Agencji Żydowskiej. Wszyscy przyjaźni, wszyscy „wyjaśniali”. I byli w tym dobrzy!

Dawno temu byłem świadkiem wycieczki do Izraela członków jednej z dobrze zapowiadających się organizacji młodych liderów – Young President Organization. W pewnym momencie jakiś mądrała zadał krótkie, aczkolwiek kłopotliwe pytanie: „Czy Izraelczycy zamierzają wypłacić odszkodowania Arabom, którzy musieli uciekać?” Prawda jest taka, że Izrael nie zapłaci złamanego grosza, ale pierwsze „wyjaśnienie” brzmiało niezwykle łagodnie: „Cóż, to skomplikowane zagadnienie... w chwili obecnej komisja analizuje najodpowiedniejsze sposoby... musicie zrozumieć, rejestry ziemskie pod tureckimi rządami...” Kiedy wycieczka ruszyła dalej, specjalista od hasbarah podszedł do gościa, który zadał to pytanie i zaczął mu konfidencjonalnie wyjaśniać: „Wie pan, to straszny wstyd, ale my ich błagaliśmy, żeby zostali!” Było to, oczywiście, bezczelne, lecz niemożliwe do sprawdzenia kłamstwo. Tego samego wieczoru podczas kolacji (niezwykle obfitej i oczywiście bezpłatnej) ten sam ekspert od propagandy, dowiedziawszy się, że jego nowy znajomy pochodzi z Connecticut, zapytał go na odchodnym: „Słuchaj, a jak tam sprawa tych wkurzających pozwów składanych przez amerykańskich Indian? Czy oni przypadkiem nie twierdzą, że połowa stanu należy do nich?”

Niezależnie od tematu podtekst był zawsze taki sam: jesteśmy pod niesamowitym naciskiem i robimy wszystko co w naszej mocy. Spróbujcie sobie wyobrazić, jak wy byście się czuli – bo przecież my jesteśmy tacy sami jak wy. Jednak izraelscy propagandyści odnieśli większy sukces, niż marzyli. W 1960 roku uwagę widzów na ekranach całego świata przyciągał ni mniej, ni więcej, tylko sam Paul Newman w filmie pod tytułem *Exodus*, jako bojownik żydowskiego podziemia, u którego boku stała

nieżydowska bogini piękności Eva Marie Saint, będąca jego ucieczką od koszmaru holokaustu. Izrael stał się modny! Przekaz więc wzmocniono. Pod koniec lat sześćdziesiątych, po zwycięstwie w wojnie sześciodniowej (1967) premier Izraela Golda Meir, której zadano równie kłopotliwe pytanie o prawa Palestyńczyków, odwarknęła: „O czym Pan mówi? Palestyńczycy nie istnieją”.

W latach siedemdziesiątych nastąpiła ogromna zmiana i to nie z powodu izraelskiej pewności siebie, ale z konieczności. Wojna Jom Kippur (1973), ten niespodziewany i niespodziewanie skuteczny atak, jaki na Izrael przypuścili jego arabscy sąsiedzi, uświadomił Żydom, że mogą zostać zmieceni z powierzchni ziemi. Izraelskie siły zbrojne, które do tej pory wydawały się niepokonane, nagle okazały się bezbronne i w potrzebie. Izrael odrzucił całą swoją dotychczasową rezerwę i bezwstydnie przyjął rolę sojusznika Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Angażował się w każdy amerykański projekt rozwiązania konfliktu w tym regionie, i to tak głęboko, że bez niego nie powstał żaden plan. Musiał się stać nieodzowny, a w ślad za tym musiało się zmienić przesłanie, jakie wysyłał zachodniej opinii publicznej.

Teraz musiało to być coś więcej niż tylko hasło: „oni są podobni do nas”. Teraz Izraelczycy chcieli, abyśmy wiedzieli, że oni to my, albo inaczej, że to oni walczą za nas – okrążeni, przygnieceni liczebnie przez wroga (akurat ten element żydowskiej propagandy hasbarah nie uległ zmianie), pragnący pokoju, lecz zdecydowani walczyć – jak mawiał filmowy Superman – za prawdę, sprawiedliwość i amerykański styl życia. Zmianie miało ulec nasze postrzeganie tego kraju: to już nie był po prostu skrawek pustynnego terytorium (na którym mogłoby zamieszkać więcej amerykańskich Żydów, gdyby nie byli tak cholernie wygodni). Teraz wszyscy Amerykanie mieli mieć swój udział w Świętej Ziemi i stać się stronami w konflikcie. I staliśmy się!

(Przecież bojownicy OWP wysadzali w powietrze samoloty amerykańskich linii lotniczych TWA, no i ten biedny pan Klinghoffer, którego na wózku inwalidzkim zrzucili z pokładu statku wycieczkowego... swoimi nadgorliwymi działaniami Palestyńczycy jak zawsze szkodzili swojej sprawie.)

Na dodatek, było to coś więcej niż tylko bliskowschodnia przyjaźń – nasz wróg był ich wrogiem, a to dlatego, że gdzieś w głębi istniała rzeczywista więź między amerykańską opinią publiczną (między obywatelami w całym zachodnim świecie) a tym miejscem – które w mniejszym lub większym stopniu zapoczątkowało ich tożsamość. Izrael zaczął uderzać w ten ton pod rządami premiera Menachema Begina, głęboko religijnego Żyda o prawicowych poglądach, który doszedł do władzy w 1977 roku. Przez prawie trzydzieści lat rządów lewicowej Partii Pracy Awoda Izrael stworzył wizerunek nowoczesnego, socjalistycznego i świeckiego państwa. Jednak po szoku i konsternacji wywołanych wojną Jom Kippur Partia Pracy rozpadła się, a na scenę wkroczył Begin, trzymając w dłoniach Torę. Wygłaszając swoje pierwsze przemówienie w roli premiera, oświadczył z charakterystycznym dla siebie patosem: „Nie będziemy prosić żadnego obcego narodu o uznanie naszego prawa do istnienia. Prawo to otrzymaliśmy od Boga naszych ojców u zarania cywilizacji”.

Begin przywrócił świętość Ziemi Świętej. A na Zachodzie, który również skręcał na prawo pod wpływem Margaret Thatcher oraz chichotu chłopaków Reagana – Żydów w Izraelu przedstawiano jako bohaterów. Prześladowani nikczemnymi aktami terroru, okrucieństwami, masakrami kobiet i dzieci, nie cofnęli się ani o krok, nie zmienili stanowiska (wbrew wszelkim przeciwnościom losu i złu), a nawet zdołali przywrócić świętość swojej ziemi, która była również naszą ziemią (niezależnie od naszych przekonań religijnych)... ponieważ tam i tu staliśmy się tym, kim jesteśmy...